

JANUSZ ORLIKOWSKI

# W sprawie tożsamości

„Sokrates wskazał nie grootę, ale grupę ludzi czekających w kącie ogrodu.

– *Sluchaj! Pewnego dnia figura dobrego Jezusa przyplłynęła z morza rzeką. Rybacy ją znaleźli. Jaka piękna! Jaka piękna! I umyli ją tu w grotcie. A teraz kamień wyrósł w grotcie. Co roku jest święto. Młotkiem odbijasz, odbijasz kawałki na szczęście błogosławione. I potem kamień znów rośnie i ty znów odbijasz. To cud”.*

I tak, jeden po drugim z kąta ogrodu przychodzili i odłupywali kawałek kamienia dla siebie. Po czym odchodzili. Przyglądał się temu rytuałowi d'Arrast, główny bohater opowiadania Alberta Camusa *Rosnący kamień*. Europejski inżynier, który przybył do Brazylii, a konkretnie do miejscowości Iguape, by zbudować tamę na rzece, która miała ułatwić życie tubylcom i tym, którzy tą częścią Brazylii władali. Jego zainteresowania jednak nie bardzo imaly się spraw owych i pomimo serdecznego przyjęcia ze strony najważniejszych w mieście, czyli burmistrza i sędziego, który nieustannie chciał wymusić na inżynierze wyznaczenie kary za zbrodniczo naganne zachowanie szefa policji wobec *takiego gościa* (ów szef, pijany, zażądał od niego paszportu, po czym, „pełen władzy”, stwierdził, że coś z tym dokumentem nie tak), ten bardziej był ciekawy zwykłych chat ludzi. Udało mu się ułaskawienie wspomnianego „dozorcy policjantów”, a zatopił się w sprawy, które niejako lud podawał mu na tacy, w kontrpunkcie do oficjalnych, dotyczących jego przybycia z konkretną misją. Zatem d'Arrast zainteresowany jest głównie ludem, a dzieje się to jakby niezamierzanie, w zwykłym toku myśli dziejącego się opowiadania.

*Rosnący kamień* Camusa. Kamień jako symbol doskonałości, jak w wierszu Zbigniewa Herberta – „kamień jest stworzeniem / doskonałym // równym samemu sobie/ pilnujący swych granic”. Jak u wielu innych, Szymborskiej – „Nie wejdiesz – mówi kamień. – Brak ci zmysłu udziału.”, Przybosa – „i odłupię odprysk / niepozornej materii i pozornej duszy”. U twórcy *Mitu Syzyfa* odradza się jak Prometeusza wątroba, dając każdemu, poprzez odłupanie części tej doskonałości część. Każdy odchodzi w majestacie jakiegoś błogosławieństwa, że czegoś niezwykłego (jak rozumiem: owej doskonałości części) jest udziałem poprzez posiadanie. To jednak tylko przygrywka, warunek konieczny do pojawienia się kluczowej anegdoty tego opowiadania.

Jest nią przyrzeczenie dane przez Kucharza. Postać, która chętnie chce serwować głównemu bohaterowi czarną fasolę przyrzekła Jezusowi, że jeśli pozwoli mu dopłynąć do brzegu w czasie katastrofy statku (to zdarzenie opowiada inżynierowi), w której (jak podejrzewa) on miał swój udział, to zanieśie olbrzymi kamień do

kościola i to będzie jego „winy” zadośćuczynieniem. Ma to nastąpić w tym samym dniu, gdy zając się będzie makumba.

Makumba to słowo pochodzenia afrykańskiego, związane z kulturą Bantu, kojarzone z imieniem jednego z środkowoafrykańskich bóstw, względnie z pojęciem magii. Od XIX wieku pojawia się również w społecznościach afro-amerykańskich (czyli tam gdzie toczy się akcja naszego opowiadania), początkowo jako ogólne określenie praktyk religijnych ludów Bantu, przywożonych przemocą do Brazylii. O takich tu mowa. Symbolem makumby jest zaciśnięta pięść z wystawionym kciukiem między palcem wskazującym a środkowym (tak jakby polska figa). Makumba to również wywar z konopi indyjskich zawierający dużą ilość środka psychoaktywnego THC. Substancja wywołująca bardzo silne doznania emocjonalne, przypominająca działanie marihuany.

Kucharz doskonale wiedział, czym jest ten obrządek. Jakiego fizycznego wysiłku potrzeba, ciągły, nocny taniec przy dźwiękach bębnow, narastające krzyki, wprowadzanie się w ekstazę, tworzenie jakby nie rzeczywistości, tym niemniej postanawia najpierw w niej uczestniczyć, a dopiero później dopełnić dla Jezusa (dla siebie?) obietnicy. Mówi o tym wcześniej głównemu bohaterowi *Rosnącego kamienia*, a ten pełen obaw w czasie trwania makumby uważa, by Kucharza nie stracić z oczu, bowiem powiedział mu, że będzie obecny w czasie jej spełnienia. Stąd przyglądaniu się nowości jaką jest dla niego ten obrządek religijny towarzyszy zawsze szukanie wzrokiem Kucharza. A ten znika, to znów pojawia mu się i wtedy zmęczony też mimowolnym udziałem w makumbie, chwytą głębszy oddech.

I opowiadania scena zasadnicza. Kucharz kładzie na głowę, na której tylko kora drzewa by zamortyzować nieco, olbrzymi głaz i poczyna wędrować w kierunku kościoła. Można ją przyrównać do drogi krzyżowej w religii chrześcijańskiej, co niejednokrotnie komentatorzy Camusa czynili. Osobiście miałbym jednak pewne obawy. Po pierwsze, i jako drugie i trzecie: dlaczego Kucharz wiedząc, że ma przed sobą tak trudne i wymagające fizycznie zadanie postanawia uczestniczyć wcześniej w makumbie? Można to tłumaczyć tylko tym, że jego wiara w sensie chrześcijańskim nie jest ukonstytuowana w sposób jednoznaczny. Bóg dla niego to i ów obrządek, jak i ów dobry Jezus, którego figurkę w rzece znaleźli rybacy i która stała się przyczynkiem obrządku „rosnącego kamienia”. Problem(?) polega na tym, iż gotujący znakomitą czarną fasolę nie widzi i nawet nie podejrzewa żadnej różnicy. Wiara to jest wiara. Jest w jego pojmowaniu jakąś magią, tym bardziej prawdziwą, jeśli „widoczną”. Dzieje się coś, czego się nie rozumie. Bo trudno określić co było w grotcie powodem „rosnącego kamienia” i tegoż wyja-

śnienie w opowiadaniu się nie pojawia, bowiem nie jest dla jego zasadniczych treści potrzebne.

Zatem Kucharz niesie swój kamień do kościoła, spełniając tym samym obietnicę daną *dobremu Jezusowi*. Towarzyszy temu tłum ludzi po obu stronach drogi, który w milczeniu przygląda się „swoistemu widowisku”... Pomimo olbrzymiej sile woli siły fizyczne odmawiają posłuszeństwa. Kucharz pada z wycieńczenia. Jeden z widzów tłumy to nasz inżynier. Podchodzi i bierze tak jak tamten na głowę kamień i poczyna iść. Widzi przed sobą ten szpaler ludzi po obu stronach drogi, który tym samym wytycza drogę do kościoła.

Wydawało by się, że zakończenie tego opowiadania jest już znajome. Teraz d'Arrast doniesie kamień do chrześcijańskiej świątyni i rzecz się zakończy. Będziemy mieć obraz ludzkiej solidarności jako główną treść *Rosnącego kamienia*. Ale, co warto w tym miejscu zauważyć: gdy Kucharz opowiadał naszemu inżynierowi o swym zobowiązaniu wobec *dobrego Jezusa* pytał go, czy on również nie ma podobnych zobowiązań. Ten nie mając żadnej konkretnej odpowiedzi, jakby się migał, jakby nie chciał powiedzieć, jakby jego odpowiedź by nie mieściła się w tego typu rozumowaniu. To było jakby poza nim. Tym niemniej, jak wspomniałem, podnosi upuszczony przez tego, który chętnie go częstował znakomitą czarną fasolą, pięćdziesięciokilowy głaz... I wbrew temu co sądził tłum i być może czytelnik nagle skręca z drogi wiodącej do kościoła i kieruje się do domu Kucharza. Tam kamień donosi i kładzie pośrodku chaty.

Thomas Merton, mnich, który za namową Czesława Miłosza zajął się komentowaniem twórczości Alberta Camusa, a czego obraz znajdujemy w książce *7 esejów o Albercie Camus* zarzuca twórcy *Dżumy* słabość takiego zakończenia i to zarówno pod względem przekazanej treści jak również artystycznym. W tekście *Trzej zbawcy u Camusa: jasność widzenia i absurd* pisze: „Camus proponuje nam dość słabą zasadę liberalnej i humanistycznej moralności”. Ta słabość objawia się również w tym, że „symbolizm »Rosnącego kamienia« nie jest pod każdym względem artystycznie udany”. Tę rzekomą słabość oprócz argumentów, by tak określić, czysto dogmatycznie – teologicznych, obrazuje powołując się na *Notatniki* pisarza i filozofa, gdzie odczytać możemy próby dwóch innych zakończeń. d'Arrast podnosi kamień i znika z nim w puszczy, co by odczytać należało jak nazywa to Mircea Eliade „mitem wiecznego powrotu”, kamień kładzie nasz inżynier nie w chacie, lecz w najędźniejszej z chałup (Camusa pociągało franciszkańskie ubóstwo i pokora). Te pomysły rozwiązania zakończenia opowiadania traktuje Merton nie jako wyraz poszukiwania, a nieporadności (?).

(Dokończenie na stronie 4)